L. A. Dmuszewski.

Okopy na Pradze.

Komedya w jednym akcie.



W. H. SAJEWSKI
1017 Milwaukee Ave.
Chicago, Ill.

Okopy na Pradze.

Komedya w jednym akcie.

L. A. Dmuszewski.

W. H. SAJEWSKI
1017 Milwaukee Ave.
Chicago, Ill.

OSOBY:

Zbrojnicki, Polak, porucznik inżynierów francuskich.

Rubaszyński, podupadły szlachcic.

Zofia,
Teresa, } jego córki.

Cnotliwski, obywatel Praski.

Grzela, parobek Cnotliwskiego.

Mosiek, szynkujący przy okopach.

(Mieszkańcy Warszawy obojej płci i rozmaitych stanów. Inżynierowie francuscy. — Wojskowi polscy.)

Scena na Pradze.

Teatr wyobraża widok części okopów z przodu niedokończonych; na wierzchu widać działa i posterunek artyleryi polskiej, stojący przy swojej budzie.— Na przodzie sceny mały dworek Cnotliwskiego, ogrodzony na wpół rozebranym parkanem i otoczony kilku drzewami, między któremi znajduje się ławka; w głębi Warszawy — wschód słońca.

SCENA I.

(Za podniesieniem zasłony słychać bęben; jest to pobudka żołnierska. Cnotliwski wychodzi z swego domu, a za nim Grzela.)

Cnotliwski — Grzela.

Cnotliwski.

Otóż przecie pobudka. Powróciłem późno do domu, a jednak przez resztę nocy prawie oka nie zamknąłem, dręcząc się niezmiernie, że swego gościa godnie przyjąć nie mogę. — Więc powiadasz, że to jest oficer francuski?

Grzela.

Tak, tak, mości panie. Oficer francuski.

Cnotliwski.

I cóż ci mówił?

Grzela.

A któżby go zrozumiał, choćby co i gadał — ale tylko położywszy na stole paltot, usiadł spokojnie i zaraz się zdrzymnął; ja tes widząc, że musi być bardzo utrudzonym, posłałem pańskie łóżko ślicniuchnie, poszedłem se do alkierza, a on tes niewiele myśląc, rozgościł się i zasnął.

Cnotliwski.

I cóż ja pocznę, nie mogąc się z nim rozmówić? — Ale nim wstanie, trzeba mu przygotować posiłek; biegajno, mój chłopcze, po kawę, a staraj się jak możesz mu usługiwać. — Pamiętaj na to, że oni są nasi wybawcy, że ich trudy, jakie ponoszą, są dla nas podjęte. Czemże okażemy im wdzięczność naszą? oto braterskiem przywiązaniem i czynieniem dla nich wszystkiego tak, jak dla nas samych. — Czy rozumiesz mnie?

Grzela.

Rozumiem, mości panie, rozumiem. — Juścić to wielka prawda. — Ja pamiętam

ósmy rok temu, jakem był w Rokitnie na odpuście. Mój Boże! każdy ma nieprzyjaciół; znalazło się kilku takich, co chcieli mi kurtę skroić. Otos Jonek, krakowiak, uczciwy chłopak, obronił mnie i potłukł ogniście zuchwalców. O, mości panie! ja teras Jonka tak kocham, tak sanuję, że i wyrazić tego nie umiem, bo on mnie wybawił w przyjaźni od guza. Biorąc z tego miarę jakżeśmy nie powinni kochać tych, co nas obronili od derusów niemieckich, i życie swe łożą, aby do resty zgnieść tych odscepieńców moskiewskich, co nam tyle gorącego sadła zalali za kołnierz, i wsystkiej biedy nasej byli przycyną.

Cnotliwski.

Rozsądnie mówisz, mój Grzelo! — No, biegajże teraz po kawę... ale, o Boże, **(na stronie do siebie.)** nie mam i szeląga **(pomyślawszy trochę.)** — Ha! ta złota ślubna obrączka jedyne bogactwo, co mi pozostało. — Słuchajno, Grzela!

Grzela.

Cóż tam, mości panie?

Cnotliwski.

Naści tę obrączkę. — Uważaj dobrze, że to jest złoto.

Grzela.

Rozumiem, mój jegomość. — Mam zapewne to zastawić? — No, no, Mosiek pewno da co na to, — mam tedy przynieść?...

Cnotliwski.

Tymczasem kawy, a o reszcie pomyślimy.

Grzela.

Ale potem musi mi jegomość pozwolić kopać baterye. Aż zazdrość człeka bierze, kiedy widzi, że tyle pań i panów, co się nie urodzili do pracy, a z taką ochotą machają łopatami, a jakże my nie powinni pracować, my, co mamy ręce tylko na to, aby uprawiać ziemię, a nie uprawimy jej w tym roku zapewne, kiedy nie pobijem tych, co nase chudoby od wieków niscyli.

Cnotliwski.

No, no... będziesz kopał, będziesz.

Grzela.

Oj, to mi to... Dziś mam taką ochotę, że za dziesięciu zrobię. (Odchodzi.)

SCENA II.

Cnotliwski sam.

Szczęśliwy naród! kiedy jego wszyscy mieszkańcy, każdy w miarę swej zdolności, przykłada się do ogólnego dobra. — Gdyby ci, którzy stali się sprawcami naszej niedoli, mogli widzieć z bliska nędze milionów ludzi, słyszeć b o l e s n e jęki wdów, sierót zgłodniałych i umierających, o jakby im stały się obrzydłe te nabytki, skropione krwią i łzami nieszczęśliwych. — Mój gość zapewne jeszcze spoczywa. (Zagląda przez okno do domu.) Ale nie, już ubrany, zabiera się do wyjścia; — jaka szkoda, że nie będziemy się rozumieli.

SCENA III.

Cnotliwski — Zbrojnicki.

Zbrojnicki.

Cóż to ma znaczyć?

Cnotliwski.

A, mój Boże, co słyszę?... Pan dobro-

dziej umiesz po polsku; czym się tylko nie przesłyszał?

Zbrojnicki.

Któż waćpan jesteś?

Cnotliwski.

Ubogi gospodarz tego domu, w którym pan stanąłeś kwaterą.

Zbrojnicki.

Witam cię, panie gospodarzu, — nocleg miałem wyborny, spałem wyśmienicie.

Cnotliwski.

Lecz... nie mogę pojąć...

Zbrojnicki.

Dziwisz się zapewne, że rozmawiam z waćpanem ojczystym językiem?

Cnotliwski.

Dwojaka dla mnie radość, widzieć ten szanowny mundur naszych obrońców i módz być pewnym, że noszący go rozumieć będzie

wyrazy wdzięczności i uszanowania, jakiemi dla niego jesteśmy przejęci.

Zbrojnicki.

Jestem w służbie francuskiej, urodziłem się jednak w Polsce, i teraz mogę już powiedzieć, że umrę Polakiem. — Wczoraj stanąłem na Pradze, gdzie należę do mających rząd nad pracującymi przy ukończeniu tych pięknych fortyfikacyi.

Mogęż się zapytać, jak dawno pan nie widział swojej Ojczyzny?

Zbrojnicki.

Trzynaście lat.

Cnotliwski.

Trzynaście lat?

Zbrojnicki.

Byłem wprawdzie oddalony od mojej ojczyzny , lecz ona zawsze była mi przytomną. Po rozejściu się wojska naszego w roku dziewiędziesiątym czwartym, wiesz waćpan bez wątpienia, że znaczna jego część w obcej ziemi umiała utrzymać chwałę polskiego

oręża. Pod nazwiskiem legionów walczyli za naród, który teraz nagradza ich bezprzykładne poświęcenie się, kiedy przemocą zniszczoną Polskę stawia w rząd narodów żyjących.

Cnotliwski.

O, mój Boże... co też nie musieliście wycierpieć?

Zbrojnicki.

Wszystkie niebezpieczństwa i trudy, jakich doznawali Francuzi, były udziałem Polaków; ale też i wielu zwycięstw pierwszych stali się wspólnikami drudzy. — I niedostępne góry Gotarda, i rozwaliny starożytnego Kairu, i obronne mury Mantuy, i wsławione Hohenlinden pola, i najniebezpieczniejsze stepy Domingo, i napełnione buntownikami miasta Neapolitańskie, wszystko to widziało nieznanych im dotąd mieszkańców Sarmacyi, wszystko uległo ich męstwu, wszystko dziwiło się ich przywiązaniu do Ojczyzny. — Lecz już podobno robotnicy zaczęli swą pracę. — Poczciwy gospodarzu! wkrótce się zobaczymy... cieszę się, że nakoniec u ziomka mieszkać będę... przez ten czas bowiem prawie tylko domy samych nieprzyjaciół były naszem mieszkaniem.

Cnotliwski.

Chwilę, panie dobrodzieju! małe śniadanie...

Zbrojnicki.

Nie, nie potrzeba. — Uważam, że majątek waćpana nie odpowiada chęci, z którą się okazujesz w przyjmowaniu takiego gościa, jakim ja jestem. — Pomówimy potem z sobą obszerniej, każda bowiem rzecz w tym kraju jest dla mnie teraz nowością. Prócz tego muszę się dokładnie wywiedzieć o pewnej okoliczności, która po Ojczyźnie jest mi najdroższą. — Po obiedzie przebiegnę Warszawę. — Ach, przyjacielu! jakież wrażenie na moim umyśle sprawia jej widok!

Cnotliwski.

A jakież musiało być to, kiedyś po trzynastu leciech pierwszy krok postawił na ziemi swych przodków.

Zbrojnicki.

O, bracie! com uczuł, jest nad wszystkie opisy. Lecz jeśli chcesz mieć tego wrażenia jakikolwiek obraz, posłuchaj mnie proszę.

ŚPIEW No. I.

Już sława rozgłosy swemi
Napełniła wszystkie kraje,
Przyszedł mściciel naszej ziemi
I Polska z grobu powstaje.
Na twoje hasło, Ojczyzno,
Rozbrat wieczny z Włochy robię...
O, droga przodków spuścizno!
Któryż kraj milszy przy tobie?

Tu spostrzegam orły białe,
Tam młódź trudy mając za nic,
Tu nawet starce, zgrzybiałe
Spieszą szukać dawnych granic,
Przeniknion świętym zapałem,
Najsłodsze czując wzruszenie,
Drogą ziemię całowałem;
Puściły się łez strumienie.

Ojczyzno!... Ojczyzno miła!
Witam cię w drogiej potrzebie;
Od tej chwili żadna siła
Nie oderwie mnie od ciebie.

Pójdę pod twemi znakami,
Pomnożę braci nadzieje,
Lub ich ujrzę Polakami,
Lub resztę krwi mej przeleję.
(Odchodzi.)

SCENA IV.

Cnotliwski sam.

Nie... niepodobna! aby Polska, mająca takich synów, nie stała się wkrótce tym samym krajem, jakim była na początku swojego życia. — Straciliśmy wprawdzie wszystko, ale została w nas miłość naszej ziemi, gorliwa chęć sławy i chwalebny zapał zemsty. (Odchodzi do swego domu.)

SCENA V.

Grzela — Mosiek.

Mosiek.

Cóż mi tedy powiesz?... bo nie mam czasu!

Grzela pokazuje obrączkę.

A widzisz to?

Mosiek.

Złoto, i jeszcze z tych przednlejszych.

Grzela.

A jak się to uśmiechnął na złoto.

Mosiek.

Cóż chcesz robić z tą obrączką?

Grzela.

Niby tes to nie wies... tylko psecies daj co na to według sumienia.

Mosiek.

Dać co na to?... a dla kogo?

Grzela.

Oto widzis dla mego pana. Ale, mój Mośku, wies, jak on podupadł; niema wcale cym się ratować, a dostał dziś na kwaterę oficera.

Mosiek.

Jakto? To na przyjęcie oficera zastawia tę obrączkę?

Grzela.

Tak, tak...

Mosiek.

Wieleżby on potrzebował?

Grzela.

Choćby dukata... co myślis? tylkos bo ty zarwan katu, mało zawse dajes.

Mosiek dając mu pieniądze.

Atóż masz.

Grzela.

Cóż, u biesa, trzy dukaty?... naści obrąckę.

Mosiek.

Bądź zdrów, a kłaniaj się twemu gospodarzowi.

Grzela.

Mośku! cy mię bies opętał... cós to się święci?

Mosiek.

Słuchaj, Grzelo! wy myślicie, że my żydzi nie znamy tego, cośmy winni tej ziemi, na której urodziliśmy się i z której żyjemy... Wszak byliśmy zawsze szczęśliwymi za polskich czasów i najwięcej cierpimy od tych, co waszą własność wydarli... Prawda, że innemi sposobami chwalim Boga... ale i nasz

Bóg i wasz, jest jednym naszym powszechnym Ojcem... a w potrzebie, a jeszcze tak uczciwej, wspierajmy się i kochajmy wszyscy jak bliźni, jak bracia.

ŚPIEW No. II. Duet.

Mosiek.

Z biednym, czy chłopkiem, czy żydkiem,
Podzielę się każdym dydkiem,
Z grenadyerem lub huzarem
Dzielę się każdym talarem,
Z mężnym jakim porucznikiem
Podzielę się dukacikiem,
A z wielmożnym jenerałem,
Workiem całym, workiem całym.

Grzela.

Wejcie, wejcie! co za dziwy,
Kej tes, gdy Polak powstaje,
Nawet i żyd niepoćciwy
Poćciwym się teraz staje.

Obydwaj.

A więc odtąd w świętej zgodzie,
Gdy żyjem w jednym narodzie,
W jakiej bądź jesteśmy wierze,
Ratujmy Ojczyznę szczerze.
(Mosiek odchodzi.)

SCENA VI.

Grzela — Cnotliwski.

Cnotliwski.

Słyszałem waszą rozmowę z poczciwym izraelitą. Wzruszenie, jakiem byłem przejęty, nie pozwoliło nawet oświadczyć mu mojej wdzięczności. Ale odnieś mu jego pieniądze. Nasz gość wymówił się od przyjęcia ofiarowanego mu przezemnie śniadania. — Jest to oficer pełen grzeczności, a co większa, jest to Polak.

Grzela.

O bodajże. — A jakis ja osieł, zem się zaraz tego nie domyślił; bo widać było po jego minie, ze to musi być człowiek, który razem ma i męstwo francuskie i odwagę polską. — Ale, ale... oj, co się tes to dzieje, cała Warsawa wali się pses most z łopatami, ale to: żeby jegomość wiedział, jakie różności ludzi, i księża i ślicniuchne kieby jabłka panie, i starzy i dzieci, i rzemieślnicy z czerwonemi chorągwiami, przysiągłszy Bogu, nie można się odpatsyć. Powiedz mi tes jegomość,

bo ja na to jestem głupi, cy to w kazdym narodzie tak wszyscy bratają się i pracują, kiedy idzie o ratunek swojej ziemi?

Cnotliwski.

Ja ci tylko powiem, że ten zapał, który widzisz w Polakach, zadziwić powinien wszystkie narody, że w sprawie odzyskania Ojczyzny wszyscy bez różnicy stanów, jeśli są równie gorliwi, dojdą zamierzonego celu, inaczej...

Grzela.

Co? inaczej?... nie może być inacy — ja teraz seść kozaków weznę na swoją osobę, kiedy widzę, że Jaśnie Wielmożność obok Grzeli wieśniaka pracuje dla wspólnej obrony. (Odchodzi.)

SCENA VII.

Mnóstwo mieszkańców warszawskich przechodzi przez scenę, na czele rot rzemieślnicych starsi ich niosą chorągwie. — Kobiety, starce, dzieci, księża, żydzi, zgoła rozmaite stany składają orszak uzbrojonych łopatami, uwieeńczonemi w kwiaty i wstęgi. Muzyka poprzedza wszystkich.

ŚPIEW No. III.

Chór w marszu.

Idźmy pracować z ochotą
Na obronę naszej ziemi,

Ach, stańmy się tą robotą,
Nieprzyjaciołom strasznemi.

Niechaj starce, żony, dziatki,
Kto się tylko zwie Polakiem,
Dla wsparcia powszechnej matki
Łączy się z naszym orszakiem.

(Wszyscy udają się na drugą stronę okopów, zostają na scenie. Rubaszyński i Zofia, którzy idąc na końcu, spostrzegli Cnotliwskiego, stojącego przy swoim dworku.)

SCENA VIII.

Cnotliwski — Rubaszyński — Zofia.

Rubaszyński.

Dzień dobry, kochanie panie Jędrzeju, dzień dobry.

Cnotliwski.

Jak się mamy panie Piotrze, przecieżeście raczyli odwiedzić dawnego przyjaciela! Co za cud.

Rubaszyński.

Pozwolisz złożyć u siebie nasz chudy obiadek, przyszliśmy bowiem na Pragę na cały dzień, a po dawnej znajomości...

Cnotliwski.

Godziż się tak postępować z dobrym przyjacielem? Przecież spodziewam się, że podzielilibyście się łyżką barszczu, który dla mnie zgotują.

Rubaszyński.

Nie mamy sobie czego zazdrościć, wiem, żeś, panie bracie, z łaski Bożej taki jak ja chudeusz. No? — twój dworczyna jeszcze stoi na miejscu?

Cnotliwski.

Mają go rozebrać w tych dniach.

Zofia.

Rozebrać? a cóż waćpanu zostanie, panie Cnotliwski?

Rubaszyński.

Co mu zostanie? Ręce i zdrowie. — Przecież, moja córko, on jest Polakiem, a do tego z liczby tych, co nic nie żałują dla powszechnego dobra swych braci. Bóg go nie opuści, a przyjdzie może czas, że na tem miejscu, gdzie stał jego mały ubogi dworek, postawi dom, w którym nietylko jego dzieci, ale jeszcze i on sam powtarzać będzie: — "Cierpiałem dla mojej ziemi, lecz ona jest znowu szczęśliwą, a moje przeszłe cierpienia są dziś najprzyjemniejszą rozkoszą."—Nie także, panie Jędrzeju?

Cnotliwski.

Bez wątpienia. Byłoby występkiem myśleć inaczej.

Rubaszyński ściskając Cnotliwskiego.

Toś mi łepski Prażanin. Tak, tak, wszak wiesz, w jakim ja byłem stanie. Dzierżawca jeden z najmajętniejszych nad Pilicą. — Zrabowali kozunie trzy razy mój dom, zniszczyli wszystko nic zgoła nie zostało nad mego starego ojca i ośmiorga dzieci. Do tych ośmiorga przybyło jeszcze trzy dziewczyny i jeden chłopiec.

Cnotliwski.

Jak to znowu?

Rubaszyński.

Onegdaj moja baba powiła mi chłopca. O, panie Jędrzeju! największe mi ten dodatek

do tuzina dzieci sprawił zadowolenie. Dałem mu imię Napoleon. Będzie mu pamiętnym rok jego urodzenia, rok ukoczenia naszego ucisku, rok, w którym bohater bohaterów świata przeniósł swoje zwycięstwa nad Wisłę i upokorzył dumnych nieprzyjaciół Polski.

Cnotliwski.

A, winszuję z całego serca. — No, jakże idą jego interesa?

Rubaszyński.

Interesa domowe zawsze w jednym stanie.

Zofia.

Ach!

Rubaszyński.

A zawsze wzdychanie. No i cóż, że jestem biedny; jeżeli ja nie wzdycham, ty powinnaś być w najlepszym humorze.

Zofia.

Ja mój ojcze?

Rubaszyński.

A zapewne, wiem, co mówię. Panie Jędrzeju! moja żona ustawicznie chora, ja pozbawiony wszystkich sposobów utrzymania. W biedzie każdy odstąpił, służby nawet nie mogłem dostać dlatego, że mnie Bóg obdarzył tuzinem dzieci. To dobre dziecko nas żywi.

Zofia.

Ale, mój ojcze...

Rubaszyński.

Tak, tak (ściskając ją) dzień i noc szyje, haftuje, upina... a za to nic sobie nie bierze, ale wszystko oddaje rodzicom i familii, i mogę śmiało powiedzieć, że gdyby nie ona...

Zofia.

Nie jestże to dług, mój ojcze! który ci wypłacam? Gdybyś mi nie dał tak pięknego wykształcenia, gdybyś mnie nie był kazał uczyć wszystkiego, mogłażbym mieć tę rozkosz trawić wszystek czas na zarabianie dla was?...

Rubaszyński.

Rodzice! starajcie się tylko wpajać w umysły dzieci waszych prawidła moralności, i dajcie im nie wykwintne, ale potrzebne w społeczeństwie wykształcenie, a będziecie z nich mieli prawdziwą pociechę, a nawet wsparcie w bezsilnej starości.

Cnotliwski.

Spodziewać się należy, że niebo nagradzając tak piękne cnoty, obdarzy pannę Zofią poczciwym i bogatym mężem.

Rubaszyński.

Takby być powinno. Ale gdzież teraz słychać, aby bogacz zaślubił ubogą dziewczynę? A prawdę mówiąc, bo na cóż mam przed przyjacielem rzeczy w bawełnę obwijać? panna Zofia nie może zapomnieć o swoim lubym którego prawie jeszcze w dzieciństwie pokochała. Był to młody towarzysz w brygadzie Madalińskiego, odważny, tak jak jego sławny jenerał. Miałem się dobrze, i nie zważając że był chudy pachoł, oddałbym mu moją dobrą Zofię, ale powstanie, i mnie uczyniwszy

biedakiem, i mojego zięcia oddaliło tak dalece że nie wiemy, czy żyje, albo już zginął.

Zofia.

To przypomnienie...

Rubaszyński.

To przypomnienie jest ci bolesne... Więc o czem innem zacznijmy rozmawiać. No, panie Jędrzeju, przyszedłem z moim starym ojcem i mojemi dziećmi kopać. Pokażmy nieprzyjaciołom, że nic nie zaniedbujemy dla wykonania tego wszystkiego, co żądał po nas wielki nasz wybawca, który już tylekroć powiedział, iż nierównie uczyniliśmy więcej, niż sam chciał, a nawet niż się spodziewał. — Byłem już wczoraj na okopach. — Co za widok! — Poważny stan duchowny daje tak piękny przykład; ale co najdziwniejsza, delikatne panie i panny białemi łapkami tak gorliwie pracują, ażem się rozbeczał. Gotowalnie zapewne próżnują: ale za to lazarety mają obfitość szarpii. Doświadczy zapewne ulgi w przykrych boleściach okryty ranami obrońca Ojczyzny, kiedy mu powiedzą, że piękne i dobre Polki przykładają się tak dzielnie do je-

go uzdrowienia. — Na tamtą stronę przeszli wszyscy ochotnicy; pójdźmy więc do nich, moja córko.

Zofia.

Chwilę tu zostanę, mój ojcze. Mam mały interes do pana Cnotliwskiego, natychmiast do was przybędę.

Rubaszyński.

No! to dobrze. Do zobaczenia, panie Jędrzeju!... Zosiu! przestań być ustawicznie ponurą. — Ja dziś jestem w osobliwszym sosie, i kiedy trzymam tę łopatę w ręku, tak mi się zdaje, jakbym cały mój dawny odzyskał majątek. Do zobaczenia. **(Odchodzi.)**

SCENA IX.

Cnotliwski — Zofia.

Cnotliwski.

Szczęśliwy humor!

Zofia.

Każdy ma taki, czyje sumienie wolne

jest od wyrzutów. Chlubię się, że takim jest zawsze mój ojciec. Dręczony tylu dolegliwościami, nigdy nie przestał być stałym. Gdy ciosy największych nieszczęść gwałtownie spadały na jego głowę, zwykł mawiać: "Przeminie to wszystko, przeminie. Zachowajmy tylko poczciwość, a Bóg nas nie opuści." — Ale teraz, mój panie Cnotliwski, gwałtem chce pójść do wojska. Młodzieńczym zapałem przejęty, gdy zobaczy polskiego żołnierza nie posiada się z zadowolenia, zazdroszcząc każdemu, kogo widzi w mundurze, a gdy czyta w gazetach o walecznych czynach naszego nowego wojska, unosi się tak dalece, że nie pomnąc na małych synów, których się trudni wykształceniem, na swoje lata i stargane siły, chce zostać nawet prostym żołnierzem.

Cnotliwski.

Co słyszę? — Lecz czemuż nie starał się o zajęcie cywilne?

Zofia.

Po wejściu wojsk francuskich do War-

szawy, odjechał za Poznań do umierającego brata mojej matki, w nadziei, iż ten bezdzietny kuzyn zostawi nam swój majątek. Stało się przeciwnie; znaleźli się nieznani bliżsi krewni, a tak, mimo zabiegów ze strony naszej, odziedziczyli wszystko. Mój biedny ojciec straciwszy próżno kilka miesięcy, powrócił z niczem. A co dla nas najboleśniejsze, opuścił czas, w którym można było starać się o jaki urząd, odpowiadający jego zdolnościom.

Cnotliwski.

Tak to, kiedy nieszczęście uweźmie się na kogo, to go dręczy ustawicznie.

SCENA X.

Dawni — Teresa i kilka panien.

Teresa.

Ślicznie, siostro! — Ty próżnujesz, a my, patrz, jakeśmy się spocili.

Zofia.

A ojciec?

Teresa.

Przyczepił się do rydla jak pijawka do ciała, aż mi go żal. — Dzień dobry, panie Cnotliwski.

Cnotliwski.

Jak mi panna Teresa wyrosła! A godzi się też to dobrego przyjaciela tak rzadko odwiedzać? — Zapewnebyście o mnie zapomnieli, gdyby nie okopy...

Teresa.

Przebacz nam to waćpan. Właśnie teraz odda no mnie do służby. A kto służy, wolność traci. Prócz tego, gdy mnie siostra wyuczyła tego, co sama umie — "nic od ciebie — rzekła do mnie — na wywdzięczenie się za moją pracę nie żądam, jak tylko, abyś jedną część każdego dnia obracała na zarabianie własnemi rękami dla twoich biednych a tak dobrych rodziców i małego rodzeństwa." — Ja też muszę ją naśladować i młodszą siostrę uczyć tego wszystkiego, czegom się nauczyła od star-

szej, abym małej Teklusi mogła toż samo powiedzieć, co mi zaleciła poczciwa Zosia.

Cnotliwski.

O, dobre dzieci! jakiegoż nie warte jesteście losu!

SCENA XI.

Dawni, — Zbrojnicki z inżynierami francuskimi.

(Za nim mnóstwo ochotników z łopatami, inżynierowie przeciągają sznur i ustawiają kopaczów.)

Zbrojnicki.

Tu! tu! moi panowie! Prawdziwie, wasza gorliwość jest bezprzykładną.—Nieprzyjaciel nie będzie śmiał przystąpić do warowni, do których zdziałania przykładają się rączki tak piękne, **oddzielając jednę część ochotników.)** dla tej części oddzielimy pracę na innem miejscu. **(Odchodzi z inżynierami i częścią ochotników.)**

SCENA XII.

Dawni — prócz Zbrojnickiego i za nim odeszłych.

Teresa.

Aha! widzisz, siostro, że tu będą kopać. Dalejże, nie pozwólmy się uprzedzić. **(Bieży z swojemi towarzyszkami w głąb i wpólnie wszyscy pracują.)**

Zofia.

A waćpan, mości panie Cnotliwski?

Cnotliwski.

Przyłączę się i ja do was, moi pracownicy. Muszę tylko cokolwiek zajrzeć do domu. **(Wchodzi do domu.)**

Zofia.

Do zobaczenia więc. **(Męsza się z innymi kopaczami.)**

SCENA XIII.

Dawni, prócz Cnotliwskiego.

ŚPIEW No. III.

Chór kopiących.

Pracujmy, bracia, z ochotą
Na obronę naszej ziemi,

Ach, stańmy się tą robotą
Nieprzyjaciołom strasznemi.

Niechaj starce, żony, dziatki,
Kto się tylko zwie Polakiem,
Dla wsparcia powszechnej matki
Łączy się z naszym orszakiem.

SCENA XIV.

Dawni, — Zbrojnicki.

Mnie się zdaje, że jeśli tak dłużej wszyscy gorliwie pracować będą, to będziemy mogli wkrótce wystawić mur taki, jaki dzieli Chiny od Tartaryi. (**Zofia, która dotąd kopała, przestaje na głos Zbrojnickiego, wpatruje się w niego, wydaje krzyk przeraźliwy i upada na ręce ostaczających ją kobiet.**)

SCENA XV.

Dawni — Cnotliwski.

Cnotliwski (wypada na krzyk z swojego domu.)

Cóż się to stało? — Przebóg! (**Bieży ku Zofii, Teresa i wiele kobiet usiłują ocucić omdlałą.**)

Zbrojnicki.

Jakiś przypadek... Ja mam wodę kolońską. (**Dobywa z kieszeni buteleczkę, a zbliżywszy się ku Zofii, cofa wstecz, wołając**) O nieba! Zofia!

Zofia.

(Przychodzi zwolna do siebie, spostrzega Zbrojnickiego i rzuca się w jego ramiona.)

Zbrojnicki.

Zofio!

Zofia.

Józef!... (**Uścisk kochanków.**)

Cnotliwski biorąc Teresę na stronę.

Powiedzże mi waćpanna, co to ma znaczyć?

Teresa.

Po wymienieniu tego słowa "Józef", domyślam się, że ten człowiek jest chyba Zbrojnickim, którego moja siostra choć nieobecnego i prawie zginionego tak bardzo kocha. Ale jeszcze nie mogę wierzyć, bo to jest, zdaje mi się oficer francuski.

Cnotliwski.

Tak jest, ale urodzony Polak.

Teresa.

Co słyszę? Ach kiedy tak, to on jest; och, jakże jestem zadowolona. Dopieroż to moja siostra będzie szczęśliwą.

Zbrojnicki.

Tyżeś to, Zofio?

Zofia.

Józefie, tyż to jesteś?

Teresa.

Oni jeszcze gotowi nie wierzyć, że są sami sobą.

Zbrojnicki.

A twoi dobrzy rodzice?

Zofia.

Okrutny człowieku! przez lat trzynaście wcale o sobie nie dać wiadomości!

Zbrojnicki.

Z każdego miejsca pisałem do was... i powinienem bardziej wam wymawiać zapomnienie tego, który był waszym najszczerszym

przyjacielem. Udręczony nakoniec tem smutnem milczeniem, nie śmiałem więcej czynić odezwy.

Zofia.

Z każdego miejsca mówisz; w wieluż byłeś?

Zbrojnicki.

Pół świata zwiedzili moi towarzysze... byłem wszędzie z nimi, a ty zemną, tak, kochana Zofio, zemną, mówię, bo nigdy nie przestałaś panować w mojem sercu. Wcielony do wojsk francuskich znajdowałem się w Neapolu, kiedy sam król tamtejszy doniósł nam o szczęśliwej nadziei dźwignienia się naszego narodu. — O, jakaż niewysłowiona radość dla tych, którzy tej chwili tak długo oczekiwali, okupując każdą godzinę krwią i niebezpieczeństwami. Dla mnie radość jeszcze nierównie większa, bom miał powrócić do Ojczyzny i w niej znaleść drugie również wielkie dobro, lubą kochankę. — Przejeżdżałem przez miejsce, gdziem cię zostawił przed trzynastu laty, lecz nietylko was nie znalazłem, ale nawet nie mogłem się dopytać, gdziebyście znajdować się mogli.

Zofia.

Niestety! wiele miejsc było mieszkaniem moich biednych rodziców.

Zbrojnicki.

Co mówisz, biednych?

Zofia.

Ledwie mogących siebie i dwanaścioro wyżywić dzieci.

Zbrojnicki.

O, Boże!

Zofia.

Przeraża cię to zapewne?

Zbrojnicki.

Jak piorun!

Zofia.

Już to nie jest owa Zofia, córka majętnego ojca, który ci ją oddawał chętnie za dozgonną przyjaciółkę!

Zbrojnicki.

Zofio!... jestżeś tą samą dawną Zofią?

Zofia.

Serce mam toż same!

Zbrojnicki.

I miłość?...

Zofia.

I miłość...

Zbrojnicki.

Dla mnie?

Zofia.

Dla ciebie zawsze. — Chociaż bez żadnej nadziei, abym cię kiedyś widzieć, a tem bardziej posiadać mogła.

Zbrojnicki.

Boże! jakże nagrodziłeś moje wielkie cierpienia. — Gdzież są twoi rodzice? Przyrzekli mi ciebie, — kochasz mnie stale, — dość na tem. — Jestem wprawdzie tylko porucznikiem; dochody moje są ograniczone, ale ty, jeśli szczerze kochasz, przystaniesz na...

Zofia.

Nie chodzi tu o mnie samą, — pierwsza powinność służy rodzicom.

Zbrojnicki.

Nie rozumiem cię!

Cnotliwski.

Ona tylko swoją pracą żywi całe rodzeństwo!

Zbrojnicki osłupiały.

Nieba!

Teresa do siebie...

Muszę to wszystko donieść ojcu! (Wybiega.)

SCENA XVI.

Dawni — prócz Teresy.

Zofia.

Nie wątpię, że mnie kochasz dotychczas, bo kto był stałym wpośród tylu przygód, kto w najodleglejszych ustroniach świata stale utrzymywał honor swego narodu, ten i kochać stale potrafi. — Nie wątpię, że żądasz, nie

odstręczony mojem ubóstwem i mniej dbały na swoje dzisiejsze dochody mnie zaślubić, ale zostawszy twoją małżonką, musiałabym ci towarzyszyć wszędzie, opuszczając tych, dla których poświęciłam wszystkie dni moje... Okrutna walka między miłością wiernej kochanki i powinnością wdzięcznej córki. Poszłabym chętnie wszędzie za tobą, dzieliłabym z radością twoje trudy, walczyłabym nawet obok ciebie, bo czegóż prawdziwa miłość dokazać nie zdoła. Umrzeć wspólnie z tobą, jeśliby srogi wyrok przeznaczył ci śmierć na placu bitwy, miałabym za największe szczęście, ale ty sam, jeśli sprawiedliwym jesteś, nie zniesiesz, abym to uczyniła wtenczas, kiedy jeszcze los...

Zbrojnicki.

Ach, nie kończ... I na to cię znalazłem, abyś mi tak bolesną zadawała ranę?

Zofia.

Lecz, o Boże... ty się oddalisz może wkrótce, może jutro... może dziś jeszcze... widzę cię znowu, znajduję cię niezmiennym... Pierwsza bitwa... o nieba... ty może ranny...

któż te szanowne troskliwiej opatrzy blizny? Gdybym ja przy tobie... tak, Józefie... nie odstąpię cię... Przebóg co mówię... moja chora matka... mój najlepszy ojciec... biedni mali bracia... niestety...

SCENA XVII.

Dawni — Rubaszyński — Teresa.

Rubaszyński niosąc małą baryłkę jeszcze w głębi woła.

Jakto, on tu jest?... Dziewczyno, to nieprawda, to być nie może!

Zbrojnicki.

Ojcze! (Rzuca się na jego łono.) ....

Rubaszyński.

A dalipan, wszak to on... ej, mospanie... otóż to mi Polak, kiedy z zagranicy nie przywiózł pachnącej pomady, miniaturki, okularów, ale szlify na ramieniu, pałasz przy boku i jeszcze znak na piersiach, który tylko otrzymują istotnie zasłużeni. Słów mi nie staje, abym, panie Józefie, (pozwól bowiem tak się

zawsze nazywać), abym wyraził to uczucie, jakiem teraz jestem przejęty. — Powiedziała mi w krótkości moja młodsza córka o waszem spotkaniu. — Wiesz już o mojem dzisiejszem położeniu. Czyńcie, jak wam serce i rozum doradzać będą — na mnie nie zważajcie wcale. — Jeśli wy będziecie szczęśliwymi, to moje szczęście będzie w waszem.

Zofia do siebie.

Boże! wspieraj moją odwagę!

Rubaszyński.

O tysiąc rzeczy mam cię, kochany panie Józefie, pytać, lecz to zostawmy na potem, bo i tak nic, widzę, nie słuchasz, ale masz wlepione oczy w swoją kochankę... No, no... wiem, jak taka chwila jest dla was drogą, a zatem słuchajno panie Jędrzeju, zostawmy ich w tym stanie, mam ci coś pokazać.

Cnotliwski.

Cóż ta baryłka znaczy?

Rubaszyński.

Kopiąc teraz w świeżem miejscu, nama-

całem łopatą głęboko w piasku tę baryłkę. Co waść myślisz?

Cnotliwski.

Coś napisano na dnie...

Rubaszyński czyta.

Roku 1794. Daj go katu... ja mówię, że to stary Tokaj... ale nie, nie słychać wcale zapachu.

Cnotliwski.

Zobaczymy no...

Rubaszyński przewracając baryłkę.

Nic się nie odzywa... ależ kaducznie ciężka.

Cnotliwski.

Którędyż tu można w nią zajrzeć?

Rubaszyński.

Nic niema naokoło... chyba denko odbić.

Cnotliwski.

Otóż nóż. (Obydwaj nożem odłupują dno baryłki.)

Rubaszyński.

Aha!... Otworzona... (Zagląda w baryłkę, stawia ją prędko na ziemi, zakrywa denkiem i cofa się w tył.) Święty Bonifacy! a to co?

Teresa.

Cóż to tam jest? (Przewraca baryłkę, z której wielka ilość dukatów wypada na scenę; powszechne zadziwienie i pauza.)

Rubaszyński.

A wszak to dukaty!

Zofia.

Jak to?...

Cnotliwski.

Czego się dziwić!... Spełniło się na nim, co sam zawsze przepowiadał: Poczciwego Bóg nigdy nie opuszcza. — Znalazł tę baryłkę, kopiąc pod bateryami. Bierz więc i...

Rubaszyński.

Nie... nie... Znalazłem to śliczne złoto prawda, ale w całości odniosę rządowi; niech jego wola stanowi o przeznaczeniu tych pieniędzy...

Cnotliwski.

A jak tobie przysądzi, czego się spodziewać należy...

Rubaszyński.

Wtenczas najpierwszą część przeznaczy się nieszczęśliwym mieszkańcom Pragi; cierpieli oni najwięcej. — To złoto bez wątpienia być musi jednego z dawnych tutejszych mieszkańców i jak z napisu roku domyśleć się można, w owym okropnym dniu rzezi było ukrytem. — Właściciel poległ zapewne pod razem zbójeckiego barbarzyńców żelaza. — Część druga: na wojskowe lazarety. Świętą jest powinnością mieć staranie nad zdrowiem tych, którzy za nas życie narażają. — Nie zapomni się i o innych biedakach, prawdziwie potrzebujących wsparcia.

Cnotliwski.

Bardzo słusznie, a reszta...

Rubaszyński.

Zaraz, zaraz... No, moja Zosiu... broniłaś mi zostać żołnierzem, bo musiałem u-

czyć twoich małych braci; wahałaś się zaślubć tego, któregoś kochała bardziej niż życie, boś była jedynem wsparciem całego domu.— Jużcić przecie zostawią mi może z tego złota tyle, iż wystarczy i na wyżywienie i wykształcenie twojej rodziny. (Sciska Zofię, oddając ją Zbrojnickiemu.) Poczciwe dziecię, niebo nagrodziło twe rzadkie cnoty. Widzisz już szczęśliwą swoją rodzinę, otrzymujesz rękę wiernego kochanka i jeszcze tę masz pociechę, że wtenczas spełniły się wszelkie twoje nadzieje, kiedy Ojczyzna staje się szczęśliwą. — A ja swego dokazać muszę i dziś jeszcze zaciągnę się do gwardyi polsko-cesarskiej. Będę miał rozkosz znajdować się zawsze przy boku tego, któremu winniśmy więcej niż życie, bo oswobodzenie.

Cnotliwski.

Ale znowu spostrzegam nowe tłumy spieszących pomnożyć tę chwalebną pracę. — O, bracia, nie traćmy czasu, połączmy się z nimi.

SCENA OSTATNIA.

Dawni — i wielu nowo przybyłych; wszyscy pozostają na przodku sceny.

ŚPIEW No. IV.
Wodewil.

Cnotliwski.

Coż ten natłok ludzi znaczy
Ubogich i panów,
Mnóstwo gorliwych kopaczy
Bez różnicy stanów?
Chodźcież teraz, najezdniki,
Z krwi chciwym orężem,
Pójdziem i z temi motyki
Umrzem lub zwyciężym.

Grzela.

Chłopi tylko, każdy przyzna
Stworzeni do pracy,
Ale kiej wzywa Ojczyzna,
Wszyscyśmy Polacy.
Wsyscy z jednej zyjem ziemi,
Polska nasza matka,
Więc ją siłami wspólnemi
Brońma do ostatka.

Mosiek.

Narzeka świat uprzedzony
Licha korzyść z żyda,

Lecz dla powszechnej obrony,
I on się też przyda.
Wszak nam czyni korzyść znaczną
Polaków powstanie,
I jak żydzi kopać zaczną,
Dziesięć fortec stanie.

Teresa.

Gdy na powszechną obronę
Wznoszą góry z ziemi,
Wzorem pań tych pobudzone,
Spieszmy, siostro, z niemi,
A jeśli ojczyznę lubą
Zasłonią te wały,
Dzieciom naszym rzekniem z chlubą:
Tu Polki kopały.

Rubaszyński.

Dobrze mówisz, chodźcież za tą,
O, dzieci kochane,
Jeszcze dziś machnę łopatą,
Nim mundur dostanę.
Nie płaczcie, gdy w polu chwały
Legnę w mężnych rzędzie,
Wszak Napoleon wspaniały
Ojcem waszym będzie.

Zbrojnicki.

Zebrane pod sławy znakiem,
O, dusze niezłomne,

Czuję pychę, kiedy wspomnę,
Że jestem Polakiem.

Kogoż lud ten nie pokona
W walce? — My nie sami,

Bo Boga mamy za nami
I Napoleona.

ŚPIEW No. V.

Chór.

Poczciwość, wierność, miłość i zgoda
Niech między nami zawsze panuje;
Wszakże z nas każdy pewno to czuje,
Jak mu jest miłą, drogą swoboda.

KONIEC.